

Kto się boi WikiLeaks?

28 stycznia 2011

„Gdyby nie wolność słowa, bylibyśmy jak te nieme i milczące barany prowadzone na ubój” (George Washington)

Było to ważne przemówienie, którego nie powstydziliby się sam ojciec-założyciel Stanów Zjednoczonych. 21 stycznia 2010 r. Hillary Clinton wygłosiła krótką mowę na temat wolności w Internecie. Krytykując państwa, które „wprowadziły elektroniczne bariery mające na celu uniemożliwienie społeczeństwu dostępu do części zasobów światowych [i] wykasowały słowa, nazwiska i zdania z wyników wyszukiwania”, sekretarz stanu posłużyła się credo prezydenta Baracka Obamy: „Im bardziej niezakłócony jest przebieg informacji, tym silniejsze stają się społeczeństwa”. W imię tego „prawa” w obronie wolności słowa i „sieci informacyjnych [które] dają ludziom dostęp do nowych faktów i pozwalają obarczyć rządy odpowiedzialnością za ich czyny”, administracja wprowadziła program wspierający „wypracowanie nowych narzędzi, które pozwoliłyby obywatelom korzystać z ich prawa do wolnego wyrażania się, bez konieczności obchodzenia cenzury politycznej” i ostrzegała przed rządami, które „zupełnie tak samo jak dyktatury znane z przeszłości, (...) celują w niezależnych myślicieli posługujących się tymi narzędziami”.

Wspaniała mowa. Tymczasem, 30 listopada 2010 r. Hillary Clinton ogłosiła zamiar „podjęcia agresywnych działań” celem pozwania organizacji Juliana Assange’a. Jaką popełnił zbrodnię? Ujawniając m.in. (patrz obok), że pani Clinton zażądała od swoich dyplomatów w ONZ, by szpiegowali urzędników tej organizacji i uzyskali, w miarę możliwości, ich dane biometryczne, hasła i numery kart kredytowych, WikiLeaks naraził na niebezpieczeństwo całą „społeczność międzynarodową”.

Niezależnie od przekonań politycznych, komentatorzy szybko

wpadli w szal i niezwłocznie domagali się na ekranach, by „zabić łajdaka po cichu” (dziennikarz Bob Beckel w Fox News), żeby pozwać go za „terroryzm” (Peter King z Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego), czy nawet uznać go za „wrogiego bojownika” na wzór więźniów z Guantanamo (Newt Gingrich w Fox News). Jak skomentował słynny działacz i pacyfista – pozostałości makkartyzmu podsycane gorączką linczowania, jak to już nie raz zdarzało się w historii Stanów Zjednoczonych. [1]

Zakładając WikiLeaks Assange miał zamiar ujawniać realne „spiski”, tajne porozumienia mocodawców skwapliwie ukrywane przed opinią publiczną. Przeszedł samego siebie... Tuż po publikacji notatek dyplomatycznych Chiny zablokowały dostęp do WikiLeaks. Amerykański rząd zakazał uczniom robienia jakichkolwiek wzmianek o serwisie na swoich blogach, a siły powietrzne zabroniły konsultowania witryn New York Times, Spiegel i Guardian, które również opublikowały dane.

Trzej główni internetowi operatorzy bankowi – którzy umożliwiają wysłanie pieniędzy Ku Klux Klanowi – odmówili pośredniczenia w przelewach dla WikiLeaks. Visa, Mastercard, Paypal ukazały tym samym swoją naturę „narzędzi amerykańskiej polityki zagranicznej”, komentował w odpowiedzi rzecznik WikiLeaks. Bez żadnej przyczyny prawnej strona szwajcarskiego banku, Postfinance, zablokowała konta australijskiego hakera.

Tableau Software – witryna umożliwiająca publikację danych – ocenzurowała nie same dokumenty, ale zwykłe streszczenie „wycieków”, wyjaśniając niejednoznacznie, że WikiLeaks nie miało „praw do danych.” Amazon, zajmujący się hostingiem dla portali internetowych, nie biorący odpowiedzialności prawnej za umieszczane zawartości, których nie jest autorem, zamknął z własnej inicjatywy konto WikiLeaks. Gdy w związku z tym organizacja wynajęła serwery u francuskiej firmy hostingowej OVH mieszczącej się w Roubaix, w Paryżu minister ds. gospodarki cyfrowej Eric Besson – któremu kilka miesięcy wcześniej powierzono kwestię obrony tożsamości narodowej kraju

Voltaire'a – zażądał od Rady Głównej ds. Przemysłu, Energii i Technologii (CGIET), by wskazała „jak najszybciej metody usunięcia witryny z francuskich serwerów”. Wyznaczony przez OVH ekspert zarządzania tymczasowego odesłał sprawę do ewentualnej głębszej analizy.

Również EveryDNS – operator domen zajmujący się wskazywaniem, gdzie w sieci znajduje się taki czy inny adres internetowy – wymazał całkowicie i zupełnie zwyczajnie nazwę WikiLeaks.org ze spisu. Wszystkie słabości Internetu (punkty skupienia, zależność od Stanów Zjednoczonych) i wszystkie metody zniewolenia, o których pojawieniu się „libertyni” sieci wspominali od lat, zostały wykorzystane. Diabolizacji Assange'a miało dopomóc oskarżenie o molestowanie seksualne, odrzucone przez niego jako „mające podłoże polityczne”. Byliśmy świadkami zabawnych podchodów usiłujących zmusić Australijczyka, który udał się na południe Wielkiej Brytanii, do zeznań. Czy gdyby Wielka Brytania wydała go Szwecji w związku z tą aferą, Szwecja ze swojej strony wydałaby go Stanom Zjednoczonym za rozpowszechnianie dokumentów Departamentu Stanu? Wszystkie te dyplomatyczne i prawne rozgrywki zaprowadziły WikiLeaks na sam szczyt listy najbardziej popularnych na świecie witryn, a jego rzecznik znalazł się pomiędzy osobowościami roku magazynu Times, tuż za założycielem Facebooka, Markiem Zuckerbergiem.

Jako że organizacja sprowadzała się właściwie do jednej osoby, charyzmatycznej i kontrowersyjnej, wystarczyło pokazać, że nie zasługuje ona na żadną ze swobód, które miałyby wcielać w życie. Stąd zasadnicze pytanie – publikując dyplomatyczne depesze przekazane przez amerykańskiego żołnierza (zdrajcą był prawdopodobnie analityk Bradley Manning, przetrzymywany w odosobnieniu 23 godziny na dobę od maja 2010 r. w bazie w Quantico w Wirginii, który ściągnął na siebie za ten zarzut karę 52 lat pozbawienia wolności), WikiLeaks uprawiało dziennikarstwo, czy może raczej szpiegostwo? „By skazać go z tytułu prawa dotyczącego szpiegostwa, proces będzie musiał

dowieść złej wiary oskarżonego. W przypadku WikiLeaks jest to proste”, twierdzi w The Wall Street Journal (9 grudnia) Gabriel Schoenfeldt, autor książki o tajemnicach, bezpieczeństwie narodowym i dziennikarstwie.

Troska, jaką przedstawiciel Departamentu Stanu Philip J. Crowley włożył, by potwierdzić, że WikiLeaks „nie jest organizacją medialną” miała na celu przygotowanie gruntu prawnego pod jego skazanie. Jeśli WikiLeaks jest paserem, szpiegiem, a nawet terrorystą, wtedy jego skazanie nie byłoby złamaniem Pierwszej Poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych gwarantującej wolność słowa. „Z całą pewnością działaniom Assange’a przyświeca jakiś szczególny cel polityczny i wydaje mi się, że właśnie to dyskwalifikuje go, jeśli chodzi o możliwość bycia uznanym za dziennikarza” dodawał Crowley.

Ta osobliwa wizja „apolitycznego” dziennikarstwa była już testowana przy okazji raportu Pentagon Papers. W 1971 r. wojskowy analityk Daniel Ellsberg ujawnił dziennikowi New York Times i 17 innym gazetom 7 tys. stron poufnych danych, które skopiował i wykradł z Pentagonu, dowodząc, że „administracja Johnsona systematycznie kłamała, nie tylko opinii publicznej, ale również Kongresowi” w sprawie wojny w Wietnamie. Starania rządu by nie dopuścić do publikacji doprowadziły sprawę do samego Sądu Najwyższego, który ostatecznie rozstrzygnął kwestię na korzyść wolności prasy.

Od tamtej pory kłamstwa władz nieustannie się mnożą. Fałszywe zeznania pozwoliły Stanom Zjednoczonym napaść na Irak. Zgodnie z dziennikiem Washington Post liczba amerykańskich dokumentów uznanych za „tajne” niewyobrażalnie wzrosła w latach 1996-2009, z 5,6 mln do... 54,6 mln.

Autor: Philippe Riviere

Tłumaczenie: Magdalena Madej

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPIS

[1] Tom Hayden, „The Lynch-Mob Moment”, 8 grudnia 2010 r.,
<http://tomhayden.com/>